



KRZYSZTOF KOWALEWSKI (1937-2021)

Więcej niż komedia

Indywidualista, który potrafił grać zespołowo. Sybaryta z traumami przeszłości. Aktor Barei, który grał Szekspira. **Jaki był naprawdę Krzysztof Kowalewski?**

TEKST JACEK TOMCZUK

Chorował od lat, ale nie obnosił się z tym, nie zamięczał sobą. Szkoda mu było czasu na gadanie o dolegliwościach. – Wiedzieliśmy, że jest już bardzo słaby, mimo to obsadziłem go w nowym spektaklu – mówi Maciej Englert, dyrektor Teatru Współczesnego w Warszawie. – Czułem, że praca go zmobilizuje, a premiera będzie trzymała go przy życiu. I tak się stało, chociaż był już bardzo słaby i się męczył.

WOLAŁ MALUCHA OD GARBUSA

PRZYJACIELE MÓWIĄ: STAŁ PO SŁONECZNEJ STRONIE ŻYCIA, był ostoją spokoju, dobry, koleżeński, nikomu nie zrobił nigdy świństwa. A w tym zawodzie to spora sztuka. Mistrz anegdoty, choć w większym gronie nie musiał być duszą towarzystwa. Wtedy wolał celne, mocne puenty niż długie monologi.

Nie narzucał się, ani w życiu, ani na scenie. Aktorka Marta Lipińska wspomina, że podczas jednego ze spektakli „Tanga” pod Kowalewskim załamało się krzesło, aktor nie utrzymał równowagi i wylądował na deskach. Publiczność nie wiedziała, że to wypadek, ale aktorzy tak. On ani drgnął, siedział grzecznie, aż skończy się scena.

– Pytaliśmy go potem: „Krzysiu, dlaczego nie wstałeś od razu?”, na co on: „Bo nie chciałem wam przeszkadzać” – wspomina Lipińska.

– Przez długi czas wydawało mi się, że jest nieśmiały, krępuje się odzywać, ale

z czasem zobaczyłam, że to jest raczej nieufność wobec ludzi – mówi pisarka Magda Dygat-Dudzińska. Wspomina, że kiedy wyjeżdżała z Warszawy do Stanów Zjednoczonych w 1977 r., Kowalewski sprzedał swojego malucha i kupił od niej pięknego zielonego garbusa. Kiedy wróciła do Polski, aktor znowu jeździł fiatem 125. – Potem opowiadał, że głupio mu było parkować przed teatrem takie zachodnie auto. Sprzedał garbusa i wrócił do malucha. On nie chciał się wyróżniać, wychodzić przed szereg. Zналиśmy się 50 lat, ale tak naprawdę nie wiem, kim był Krzysiek Kowalewski. Nie odsłaniał się, może to był skutek jego dziecięcych traum?

PRZEŻYĆ POGROM

– **TYPOWA PRZEDWOJENNA** KLASA ŚREDNIA – mówił o swoich rodzicach. Matka – piękna kobieta, blond włosy, niebieskie oczy, aktorka. Ojciec zaczynał w wojsku, walczył z bolszewikami w 1920 r. Z armii odszedł w stopniu podporucznika i zajął się interesami, został nawet dyrektorem papierni. Przed wrześniem 1939 r. został zmobilizowany, później trafił do niewoli sowieckiej, zginął w Charkowie.

Krzysztof miał dwa lata, kiedy widział go ostatni raz.

Dzieciństwo to okupacja, powstanie warszawskie, strach, zbieranie ziemniaków na Polu Mokotowskim podczas bombardowania. Głód był tak wielki, że kiedy podczas bombardowania wybiegł z kamienicy i zobaczył mnóstwo mięsa

na dziedzińcu, chciał je zbierać, żeby coś ugotować... Matka nic nie mówiła, tylko go odciągnęła, a on dopiero po chwili zorientował się, że to ciała dzieci z pobliskiego szpitala.

Po powstaniu znalazł się w Kielcach. Zapamiętał scenę wyzwolenia w styczniu 1945 r.: na rynku leżał trup niemieckiego żołnierza, a kierowca rosyjskiego czołgu precyzyjnie obcinał mu gąsienicami głowę centymetr po centymetrze. Ludzie stali, oglądali i byli pod wrażeniem umiejętności. Na drugi dzień rynek przypominał czerwone lodowisko.

Kilka dni przed pogromem 9-letniego Krzyska łapią koledzy z podwórka: wykręcają mu ręce, każą mówić pacierz, grożą, żeby przyznał się, że jest Żydem. Kowalewski nie wie, o co chodzi, pacierz zna i przyjął nawet pierwszą komunię. Sam się boi ocalałych z wojny Żydów, którzy mieszkają w kamienicy obok. Nie lubi tamtędy wracać do domu.

4 lipca 1946 r., kiedy żołnierze polskiej armii strzelali do żydowskich mieszkańców kamienicy przy Planty 6, a tłum linzcował niewinnych, Krzysztof jeździł z kolegą autem po podkieleckich łąkach. Słyszał strzały, ale rok po wojnie niktogo one nie dziwiły. Wrócił późno, a matka, zdenerwowana jego nieobecnością, pierwszy raz w życiu go uderzyła. Powiedziała mu, że są Żydami. Następnego dnia wyjechali do Warszawy.

– Nie ukrywał tych historii, ale też nimi nie epatował – mówi Maciej Englert. – Był inteligentnym człowiekiem,

wiedział, że bufet teatralny nie jest odpowiednim miejscem na takie opowieści. Jeśli się już pojawiały, to raczej w formie anegdot.

Malarz i grafik Andrzej Dudziński wspomina, że kiedyś rozmawiali z Kowalewskim o najpyszniejszych potrawach, jakie smakowali w życiu. Ktoś wspominał o krewetkach, rybach, egzotycznych owocach, a Kowalewski powiedział, że podczas powstania znalazł w szufladzie kromkę suchego, zwietrzałego chleba i ssał ją kilka godzin.

– Ona uratowała mu życie i już nie mu przez następne 70 lat tak nie smakowało – opowiada Dudziński. – Ale w jego wspomnieniach to nie była historia tragiczna, tylko optymistyczna, jednak przeżył. Nie znosił martyrologii, rozdrapywania ran. To, że ocalał z wojny, sprawiło, że nie miał wygórowanych oczekiwań wobec życia, nic więcej mu się nie należało.

Kiedy w książce „Taka zabawna historia” (2014) przyznał się do żydowskiego pochodzenia, w internecie wylały się na niego wulgarne obelgi.

– Ale zupełnie się tym nie przejął – mówi Magda Dygat-Dudzińska. – Nie żałował tego, ale też nie miał potrzeby pogłębiania wiedzy o swoich korzeniach, dyskusowania o tożsamości. Zaprosiliśmy kilkoro przyjaciół na kolację, był m.in. Adam Michnik, zeszło na te tematy żydowskie. Krzysztof na pewno miał swoje zdanie, ale nie powiedział ani słowa.

SZTYWNY AMANT I WIARYGODNY PARTYJNIK

POPULARNOŚCI NIE PRZYNIÓSŁ MU TEATR, kino czy telewizja, ale radio i rola pana Sułka, niezbyt inteligentnego, wiecznego ucznia szkoły podstawowej, którym opiekuje się rencistka pani Eliza, która co raz powtarza: „Kocham pana, panie Sułku” i słyszy odpowiedź: „Cicho, wiem!”. Po raz pierwszy wygłosili ten dialog w 1973 r.

– W latach 70. słuchanie porannych audycji w programie III Polskiego Radia było inteligenckim obowiązkiem – wspomina reżyser Janusz Zaorski. – Specjalnie się wstawało w niedzielę wcześniej, żeby posłuchać „Serwus, jestem nerwus”, wy-

kładów „O wyższości świąt Wielkiej Nocy nad świętami Bożego Narodzenia”, „Rodziny Poszepczyńskich”. Te audycje pisane przez Stefana Friedmanna, Jonasza Koftę, Jerzego Dobrowolskiego, Jacka Janczarskiego skrzyły się humorem, wielopoziomowymi aluzjami.

– Szczupły, przystojny, wysoki, kobiety kochały się w nim na amen – Magda Dygat-Dudzińska wspomina koniec lat 60., kiedy się z Kowalewskim zaprzyjaźniła.

– Ale w filmie kariery nie zrobił. Był za wysoki, kiepsko wyglądał z ładnymi, ale niezbyt wysokimi aktorkami – wspomina Zaorski. – Owszem, w latach 60. obsadzano go jako amanta, ale był w tych rolach sztywny jak kij od mioty. On zaczął być ciekawy, kiedy zmieniła mu się figura, zaokrąglił się, pojawił się drugi podbródek, stał się aktorem charakterystycznym.

Popularności nie przyniósł mu teatr, kino czy telewizja, ale radio i rola pana Sułka, niezbyt inteligentnego, wiecznego ucznia szkoły podstawowej

W Studenckim Teatrze Satyryków poznał Stanisława Tyma, Andrzeja Jarreckiego, Agnieszkę Osiecką... Byli mistrzami w obśmiewaniu PRL-owskich absurdów, nauczyli Kowalewskiego nieufności i abstrakcyjnego humoru.

– Wtedy rozkręcała się epoka Gierka, pojawili się nowi działacze, młodzi spragnieni kariery, awansu, sukcesu. Wieprzowina w garniturze – tak się mówiło o takich typach, którzy za dyspozycyjność i niezadawanie pytań chcieli jak najlepiej się urządzać i jeszcze być lubiani. I Krzysztof umiał to złapać i oddać bezbłędnie – mówi Zaorski.

Polacy pokochali Kowalewskiego za role w filmach Barei („Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”, „Brunet wieczorową

porą”, „Miś”), popularne seriale, kabarety i komedie.

– W środowisku filmowym tego, co robił Bareja, właściwie nie uznawano za filmy – mówi Zaorski. – To był jakiś strumień świadomości, od skeczu do skeczu. „Praca fajna, szkoda tylko, że reżysera nie dowieźli na plan” – żartowali kole-dzy. Owszem, Bareja miał bezbłędne poczucie humoru, ale na planie wszystko mu się podobało, zachowywał się jak jakiś debiutant, który się cieszy, że w ogóle może kręcić film, ma kamerę.

– Lubiałem grać te postaci, bo miałem wrażenie, że robię coś więcej niż komedię. Tym i Bareja ośmieszali tę rzeczywistość. Pokazywali jej absurdalność. To nie były proste żarciki ze skórka od banana – wspominał Krzysztof Kowalewski po latach.

JEGO POSTACI DAWAŁO SIĘ LUBIĆ

PRZEZ LATA GRAŁ PRAWIE U WSZYSTKICH wielkich polskiego kina, może tylko nie u Andrzeja Wajdy. Polacy zapamiętali go jako Zagłobę z „Ogniem i mieczem”. – Tak wstrząsająco płakał nad ciałem Longinusa, że ja, który to ciało grałem, naprawdę się wzruszyłem – śmieje się Wiktor Zborowski. Grał szefa kompanii w „C.K. Dezerterach” czy ojca Majki z serialu „Szaleństwa Majki Skowron”. Był rzadkim przypadkiem aktora, który nie miał potrzeby grać głównych ról, nie obrażały go epizody. Mawiał, że nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy.

– Z czasem nawet nie chciał większych ról, bo już bywał zmęczony, słabszy. Pamiętam, jak grał w „Martwych duszach”, trzeba było pochować butelki z wodą na scenie, żeby w przerwach mógł się napić – opowiada Maciej Englert.

Przez lata był gwiazdą Teatru Współczesnego w Warszawie. Miał tam swoją publiczność, pozycję i rytuały. Nie lubił przychodzić zbyt wcześnie przed spektaklem, denerwowało go czekanie na wyjście na scenę. Nienawidził robić zastępstw za kolegów. Mówił, że to trauma po młodości w Teatrze Polskim, gdzie jako początkujący aktor notorycznie robił zastępstwa, bo nie miał swoich ról.

– Śmiał się z siebie, że jest trochę leniwy – wspomina Andrzej Dudziński. – Kie-

dyś przyszedliśmy na „Hamleta”, w którym grał Grabarza, pojawiał się w jakiejś zapadni. Potem zapytałam, czy wkłada cały kostium. „No co ty? – zachnął się. – Po co mam zakładać spodnie i buty, jak widać mnie tylko od pasa w górę”.

Magda Dygat-Dudzińska wspomina, że rzadko rozmawiała z przyjacielem o rolach, próbach, artystycznych wyborach. – On po prostu lubił to, że mu się udaje, że zarabia, utrzymuje się. Uważał to za sukces. Czasami mówił, że gra w czymś okropnym tylko dla pieniędzy. Miał duży dystans do tego zawodu, zresztą to go łączyło z żoną Agnieszką.

Krzysztof Jaroszyński, satyryk i reżyser seriali, wpadł kiedyś na pomysł, żeby postać Kowalewskiego przebrała się za Elvisa Presleya i tańczyła. Aktor powiedział, że nie ma sprawy, postawił tylko jeden warunek: chciał mieć doklejone bokobrody.

– Nigdy nie prosił: pokażcie, jak wyszedłem na zdjęciach, może coś zmienimy, zrobimy jeszcze jeden dubel. Jak reżyser był zadowolony, on nie wychodził przed szereg – mówi Jaroszyński.

Grał zwykle typy mało sympatyczne, tępaków, ale nie wyśmiewał swoich postaci. Jego bohaterów dawało się lubić. I za to kochała go publiczność.

DŁUGIE TRZY SCHODKI

CZY COŚ SPRAWIAŁO MU PRZYJEMNOŚĆ POZA GRANIEM? – pytam przyjaciół. Wszyscy mówią: jedzenie. Sprawiało, że dobrze się czuł i im był starszy, tym bardziej nie chciał z tego rezygnować. To była jego słabość i przekleństwo, bo tył.

Maciej Englert opowiada, że w latach 80. byli z teatrem w Wenecji. Większość aktorów ruszyła w miasto, żeby zobaczyć słynne zabytki. Kowalewski, mimo skromnego budżetu, poszedł do kawiarni i restauracji, żeby posmakować prawdziwej kawy, pizzy, makaronu.

Wizyty w restauracji często wyglądały podobnie i przypominały kabaretowy numer. Aktor oglądał kartę i nie mógł się zdecydować, które z dań chce zamówić. Po czym mówił: nie mogę wybrać, więc zamówię wszystkie.

– Krzysztof uwielbiał jeść. A ja uwielbiałem na to patrzeć. Nawet jak byłem

po obiedzie, a widziałem go przy stole, stawałem się głodny – wspomina Janusz Zaorski. – Ale jak jadł, to już nie potrafił się zatrzymać... Na premierę filmu „Ja i mój tata” w 2017 r. musiał wejść po trzech schodkach na scenę i widziałem, że jest mu bardzo ciężko.

Zawsze po spektaklu zostawał jeszcze na chwilę w teatrze, odpoczywał. W grudniu 2019 r., po jednym z ostatnich spektakli, w jakich wystąpił, nie dotarł do domu o zwykłej porze. Zaniepokojona córka zadzwoniła do Macieja Englerta, sprawdzali, czy nie zasnął. Okazało się, że poszedł do restauracji.

– Skoro już wyjechał z domu, to chciał zrobić sobie przyjemność. Cały on – mówi Englert.

TRZY KOBIETY ŻYCIA

ZIMĄ 1966 R. WSZEDŁ POTAŃCZYĆ do warszawskiego SPATiF-u, gdzie spotkał Vivian Rodriguez. On miał 31 lat i był rozpędzającym się aktorem, ona 23 i była kubańską zawodową tancerką, po rozwodzie i z dwuletnim synem, któ-

Mawiał, że nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy

rego wychowywała na Kubie babcia. Do Polski przyjechała na chwilę.

– Myślałem, że to ja ją podrywam, ale z perspektywy czasu widzę, że mogło być na odwrót – wspomina Kowalewski. – Vivian poderwała mnie, mając bardzo konkretne zamiary, których ja w swoim oszołomieniu nie mogłem dostrzec.

Chodziło oczywiście o zalegalizowanie pobytu w Polsce. Z czasem żona sprowadziła z Kuby syna, mamę i brata. Kiedy po trzech latach wyjeżdżała do Paryża, nie próbował jej zatrzymać, ale został w Warszawie z pięcioletnim pasierbem i dwuletnim synem.

Dziesięć lat później związał się z Ewą Wiśniewską. Oboje pracowali w Teatrze Kwadrat, grali w farsie „To nie była

piąta, to była dziewiąta”. – Przyznaję, że mięty wcześniej nie było, Ewa uważała, że jestem przemyślana, no i żaden ze mnie amant. Zbliżyło nas chyba nieszczęście. Ja miałem złamane serce. Ewa też przeżyła nieszczęśliwą miłość. Zaczęliśmy tak się pocieszać, że chwilę później już mieszkaliśmy razem – wspomina Kowalewski. Przeżyli ze sobą ponad 20 lat.

W 2000 r. on miał 63 lata, a aktorka Agnieszka Suchora 32. Znowu teatr, tym razem Współczesny.

– Bardzo długo nie wiedziałem, co robić, nie chciałem Agnieszki sobą obciążać. Ona chciała mieć dziecko, rodzinę. A ja potrafię liczyć, próbowałem jej to wybić z głowy – wspomina Kowalewski.

– Agnieszka stworzyła mu prawdziwy dom, w którym to on był najważniejszy. Przecież jego matka, jak miał 15 lat, przeniosła się do Olsztyna ze swym nowym partnerem. Krzysiek został sam w Warszawie – wspomina Magda Dygat-Dudzińska. – Mam wrażenie, że odkąd go poznałam, był spięty, zaciśnięty w jakiejś obręczy traum, nieufności. Dopiero przy Agnieszce mógł się poczuć bezpiecznie i odpuścić.

– Wiedział, że jest dużo starszy od Agnieszki, a biologia jest nieubłagana – mówi Maciej Englert. – Chciał jak najdłużej cieszyć się rodziną i wychowaniem córki Gabrysi, to był imperatyw do życia. W ostatnich latach grał dużo, również w chałturach, chociaż przychodziło mu to z coraz większym trudem, bo chciał zapewnić im przyszłość, kiedy go już nie będzie.

Ona też zdawała sobie sprawę z tej różnicy wieku. Kiedy kupowała drzewa do posadzenia w ich ogrodzie, to nie małe sadzonki, bo wiedziała, że mąż nie zdąży zobaczyć, jak wyrosną. Od razu wyrosnięte, żeby zdążył się nimi nacieszyć. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

KORZYSTAŁEM Z KSIĄŻEK:
ROMAN DZIEWOŃSKI „SKARPETKA W RĘKU” I „TAKA ZABAWNA HISTORIA. KRZYSZTOF KOWALEWSKI W ROZMOWIE Z JULIUSZEM ĆWIELUCHEM”.
WSPÓŁPRACA SZYMON FALACIŃSKI